

Andrzej Mężyński, *Józef Grycz (1890–1954) — organizator polskiego bibliotekarstwa*, Wydawnictwo Naukowe i Edukacyjne SBP, Warszawa 2020 (Seria Historyczna 6), 473, [1] ss., reprodukcje fotografii, ISBN 978-83-65741-55-4

<https://doi.org/10.19195/0080-3626.64.17>

[U]jęcie organizacji polskiego bibliotekarstwa jako całości pozostało dotąd nienapoczęte. Niewątpliwie rzecz to niełatwa, wymagająca wszechstronnego przemyślenia, zaczepiająca o bardzo liczne i różnorodne problemy, niemniej jednak zasługująca na jak najrychlejsze ruszenie z miejsca, jako uzależniająca wszelką dalszą racjonalną, skoordynowaną i do właściwego celu zdążającą pracę naszych bibliotek¹.

Tymi i podobnymi słowami aż do końca życia Józef Grycz (1890–1954) przedstawiał swoje *credo*. Biblioteki — przekonywał — wymagają zarządzania, a ponieważ dla realizacji swoich celów powinny współpracować, zarządzać nimi należy na szczeblu krajowym. Postulat traktowania ogółu bibliotek jako całości zapewne pozostanie w Polsce niezrealizowany nawet w sto lat po śmierci Grycza, ale interesujące jest odkrywanie jego aktualności w zmieniających się warunkach technicznych. Dziś wiele rzeczy udaje się nam dzięki komputeryzacji — nie tylko jeśli chodzi o możliwości utrzymania kontaktu i współpracy, ale i dzięki temu, że przekaz danych wymusza ich standaryzację. Gorzej ze świadomością, kulturą organizacyjną i wizją polityczną. Jak to zatem wyglądało u początków?

Postacią wytrwałego organizatora i racjonalizatora, doznającego rozczarowań, ale w końcu przecież spełnionego, zajął się Andrzej Mężyński. Znamy go między innymi z biografii Jana Działyńskiego (1929–1980), ale to inna postać — właściciel Kórnika był posiadaczem zbiorów, a bibliotekarzy tylko zatrudniał. Teraz zaś jest wreszcie biografia bibliotekarza i klasyka polskiego bibliotekoznawstwa. Wśród wielu czytanych dziś i budzących emocje sylwetek ludzi, takich jak Irena Sendlerowa, Witold Gombrowicz, Anton Czechow czy Marek Hłasko, otrzymujemy oto opowieść o człowieku, którego dokonania nie wzbudzą ekscytacji mas ani recenzentów. Ale przynajmniej raz bibliotekarzowi poświęcono coś więcej niż koleżeńskie upamiętnienia, te bowiem są zazwyczaj sentymentalne i szablonowe.

Narracja Mężyńskiego zresztą nie jest wcale wolna od emocji. Autor nie ukrywa, że pisze o człowieku wielkim, choć punktuje niektóre z jego słabości i bezlitośnie, czasem tylko jednym słowem, kwituje jego porażki. A także go broni. Ale nie ocenia ani tym bardziej nie wychwala. Podsumowaniem biografii staje się właściwie jej obszerny wstęp, zaś wybrzmiewa ona na modłę nieco fabularną opowiadaniem o chorobie i śmierci „Józefa”, reakcjach i komentarzach środowiska zawodowego oraz poczynaniach wdowy, profesor Alodii Kaweckiej-Gryczowej (1903–1990). Jej ponowne pojawienie się na łamach książki trafnie przypomina, że mamy do czynienia ze współczesnością, choć konstrukcja pracy — zapowiadana we Wstępie („narracja biegnie chronologicznie, a rozdziały opisują

¹ J. Grycz, *Normy organizacyjne bibliotek naukowych a w szczególności uniwersyteckich (koreferat)* [do referatu A. Łysakowskiego], „Przegląd Biblioteczny” 3, 1929, s. 305.

koljne etapy życia Józefa Grycza”, s. 19) — może utrudniać problematyzację niektórych poruszonych w biografii zagadnień bibliotekoznawczych.

Mężyński opiera się na pracach autorów spoza kręgu Gryczów, takich jak Małgorzata Korczyńska-Derkacz, Jacek Puchalski i wielu innych, w tym Emilia Kurdybacha, która dodatkowo ułożyła *Bibliografię drukowanych prac, artykułów i notatek Józefa Grycza* (s. 441–459), oraz bada szczegółowo jego spuściznę, liczne źródła archiwalne i rękopiśmienne. Trudno tu nawet chwalić kwalifikacje badawcze autora, skoro przedarł się on już wcześniej przez dzieje bibliotek polskich pod niemiecką okupacją. Jeśli można znaleźć w przyjętym zamierzeniu jakąś wadę, to tę, że autor zatrzymuje się w pół drogi pomiędzy biografią wybitnego twórcy kultury jako człowieka a sylwetką uczonego i działacza. Zwycięża „organizator”. Mężyński nie rekonstruuje zatem Grycza jako przedstawiciela swojej epoki, jej kultura jakby nie zawiera dla niego szyfrów godnych odkodowania.

Recenzent nie potrafi powiedzieć, czy widzi w tym wyraz pożądaney wstrzemięźliwości intelektualnej i pisarskiej dyscypliny, czy też może pewnego rodzaju intuicyjne samoograniczenie. Dziś, w epoce sieci i systemów, holistyczne podejście Józefa Grycza do bibliotek mogłoby się stawać dla nas raczej coraz bardziej niż coraz mniej frapujące; jeśli znany mu Paul Otlet jest dziś — wraz ze swym *Mundaneum* (1910) — uważany za prekursora hipertekstu, Internetu, Wikipedii, OCLC i kultowego eseju Vannevara Busha *As we may think* (1945), to może Grycz miał również jakieś pansoficzne ambicje i futurologiczne przeczucia? Jasne, że nie czytał Busha w miesięczniku „The Atlantic”, ale może przynajmniej zbierał się z przyjaciółmi na seansach spirytystycznych? Z kolei postawa Grycza jako wizjonera „oplatającego” Bibliotekę Narodową „siecią zarządzeń i instrukcji” zdaje się czasami zwiastować prekursorstwo nauki o zarządzaniu. Kojarzy się tu Karol Adamiecki i jego Instytut Naukowej Organizacji, założony w 1925 roku. No i wreszcie — może był Józef Grycz urodzonym politykiem, czego nie potrafimy dostrzec zza wymęczonych stalinowskich inkrustacji w jego późnych pracach?

Grycz Mężyńskiego jest na ogół bardzo zdyscyplinowanym, lojalnym i świadomym XIX-wiecznym inteligentem pozytywistą, a w Otlecie widzi zaledwie dawnego twórcę Międzynarodowego Instytutu Bibliograficznego. Dostrzega jego format i zasługi, ale nie wyciąga właściwie żadnych wniosków z jego dokonań, choć może się wydawać, że powinny wzbudzić jego fascynację. Co więcej, to nie w wyniku przeoczenia, lecz na skutek milczenia źródeł Mężyński nie pisze właściwie niczego o zainteresowaniach i kontaktach swojego bohatera, o jego lekturach i gustach. Kiedy Grycz wyprawia się na wycieczkę zagraniczną (co zdaje się lubił, ale co wówczas zdarzało się rzadko), to odwiedza Casino de Paris i paryski cyrk Medrano (s. 208). Trudno więc winić biografę, że nie próbuje ustawić swojego bohatera w jakiejś trudniejszej roli jako znawcy i konsumenta dóbr kultury. Nie widzi też Słazaka (a Grycz był nim, jak pisze autor, „z dziada pradziada”) w kontekście Miłoszowskiej „wyprawy w dwudziestolecie”. Jest to epoka wielu dokonań, ale i trudnych do ogarnięcia nieszczęść, a także zwykłych obyczajowych odmienności, takich jak jedna kąpiel na tydzień, palenie papierosów w miejscu pracy oraz ceremonialne spełnianie „braterstwa” po latach znajomości (przykład: doktorzy Grycz i Łysakowski). W Tatrach — narty, ale nie bardzo ludzie. Budowany w Zakopanem dom — gdzie zlokalizowany? A Warszawa nędzy i kabaretów? Epoka niesłychanej podatności na hasła nacjonalistyczne faktycznie spłynęła zdaje się po Gryczu jak woda po kacze, aż trudno

uwierzyć. Trochę gorzej powiodło mu się z komunizmem, ale czasy przez biografą zapowiadane jako terror i doktryna przedstawiana jako marksizm to jeszcze nie całość. Jest ponadto odbudowująca się Warszawa, dla osób niedotkniętych bezpośrednio represjami niewątpliwie liberalna i wyemancypowana. W roku śmierci Józefa Grycza Marek Hłasko kończy 20 lat i publikuje *Bazę Sokołowską*. Grycz jednak nie miałby już na taką Warszawę siły, a u wielu postaci historycznych aktywnych przed traumą okupacji i niebezpiecznych lat 40. widzimy swoiste zamknięcie się na przedwojenności.

Dobrze, że precyzyjnego opisu doczekały się poczynania Ślązaka podczas wojny. Nawet trudno powiedzieć, że Grycz lawirował. Autor opowieści przekracza tu wszelkie granice, wytyczane przez patriotyczny stereotyp, nawet jeśli sam Grycz wprowadza w pewnym stopniu ten trujący składnik do swoich pism powojennych. Nie, nasz bohater po prostu robił swoje, i dzięki egzotycznej zgodzie, do jakiej często dochodziło między trzema niemieckojęzycznymi dżentelmenami (pozostali dwaj to Gustav Abb i Wilhelm Witte), Biblioteka Narodowa, wprawdzie w końcu katastrofalnie okaleczona, przeczekała okupację, rozwijając się. W dodatku Mężyński pisze o tym jak nikt — te pulsujące, wielokrotnie złożone, a nigdy za długie zdania, to język nieznanym współczesnym ofiarom punktozy. Podobnie jak jego dotkliwy, ale zawsze lakoniczny sarkazm, na przykład w stwierdzeniu, że bohater „brnął dalej, opisując rozwój książki w uzależnieniu od spłotu wielu czynników — sił wytwórczych miast, rozwoju twórczości naukowej i artystycznej, wpływów Kościoła, które hamowały rozwój książki” (s. 421)². Można tylko się zdziwić, że nie obdarza złośliwościami bibliofilów, a takie korzenie miał Stefan Demby, pierwszy dyrektor Biblioteki Narodowej, krytkowany przez Ślązaka. Grycz w pewnym momencie rozstał się z tym środowiskiem, Mężyński zaś poprzestaje na beznamytnym opisie jego narcystycznych rytuałów. Można też mieć małą pretensję, że nie próbował dociec znaczeń zawartych w intrygującym ekslibrisie bibliotekarza, reprodukowanym na s. 69.

I jeśli już doszło do tego, że wytykamy niedociągnięcia w wielkiej źródłowej pracy, to niech jeszcze wolno nam będzie zgłosić sprzeciw wobec łatwizny zawartej w informacji, iż „język niemiecki był używany [na Śląsku Cieszyńskim — H.H.] przeważnie w urzędach, gdzie pracował element napływowy bądź zniemczony” (s. 38). Do „zniemczonych” należy zaliczyć zatem także Leopolda Szersznika (1747–1814), cieszyńskiego człowieka Oświecenia, zaś napływowi w XIX wieku na Śląsku Cieszyńskim byli niemal wszyscy, o czym śpiewa Jaromir Nohavica. Ostatnią maturę można było zdawać po niemiecku w cieszyńskiej Realschule jeszcze w 1927 roku, zaś cieszyński szpital mówił, pisał i dokumentował po niemiecku do 1930 roku, bo tego wymagał dyrektor, dr Hermann Hinterstoisser, jedna ze sław austriackiej chirurgii, nieznacznie młodszy od Zygmunta Freuda. Zresztą wcześniej przecież autor w ciepły sposób opisał „patriarchalna epistołę” (s. 38) wystosowaną do syna po niemiecku w ważnej sprawie rodzinnej.

No i jeszcze sprawa „kodyfikacji całego prawodawstwa [...] która zresztą zakończyła się powodzeniem [do 1939 roku — H.H.]” (s. 83). Dotyczy ona pozaborowych rozbieżności w Polsce i jest porównywana ze sprawą ujednoczenia i „normalizacji” przepisów

² Co prawda to ostatnie uznamy za prawdę, jeśli przyjmiemy nietrywialną teorię Elizabeth Eisenstein o wpływie cenzury kościelnej na rozwój piśmiennictwa, por. eadem, *Rewolucja Gutenbergowa*, Warszawa 2004.

katalogowania. Wiąże się jednak także ze sprawą rozwodu (1931) i drugiego małżeństwa Grycza (1935). Otóż nie, polskie prawo małżeńskie nie doczekało się przed 1939 rokiem włączenia do jednolitego korpusu, toteż w byłym zaborze pruskim można było poprzestać na świeckim ślubie cywilnym. Także o rozwód było zapewne łatwiej w prawie pruskim, skoro doszło do niego w Poznaniu, gdy Grycz już pracował w Warszawie w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Dlaczego zatem nie ślub cywilny w Poznaniu? Najwyraźniej jednak Grycz, który nie był typem religijnego gorliwca, usłyszał od ojca bardzo wyraźne „synek, nie” nie tylko w sprawie ewentualnej zmiany wyznania, o której jest mowa w liście do Adama Łysakowskiego (s. 202); może także w sprawie ślubu cywilnego? To, co nastąpiło: zmuszenie partnerki Alodii do przejścia na wyznanie ewangelicko-reformowane i wyjazd nie do Poznania, a do Wilna, gdzie znajomy Łysakowskiego był proboszczem kościoła kalwińskiego, wydaje się jednym z najprzyczrzejszych czynków bibliotekarza, opisanych na łamach tej książki, i wyznacza granice jego moralności; sporo także mówi o epoce. Ale nie o całej. Problemy z rejestracją lub brakiem rejestracji związków nie były przecież wielką przeszkodą w życiu ówczesnych wielkomijskich elit.

Kiedy czytamy znakomicie skądinąd napisane książki Grycza, naszym oczom ukazują się jego prawdziwe, jak się zdaje, fascynacje i prawdziwe sprawności. Opowieści to nie jego *genre*; idee chyba też nie. To człowiek zafascynowany zapisem użytkowym, umięjący odczytywać, projektować i wytwarzać takowe z wielką precyzją i wnikliwością, co wcale nie jest rozpowszechnioną umiejętnością. Mówią o tym na przykład wspaniałe tabele *Porównanie zagranicznych przepisów katalogowania* w książce o tym tytule³. Mniejsza o to, że tylko raz wspomina tam o przepisach rosyjskich⁴, także starannie wówczas kodyfikowanych i dostępnych, a pominiętych w tabelach. Najważniejsze, że wyciąga istotne postanowienia z wielojęzycznego materiału — co profesjonalni bibliotekarze nanczas umieli — i konfrontuje je z sobą w sposób przejrzysty wizualnie, co wymagało zapewne rozmowy z zecerem.

Im później Grycz pisze, tym bardziej widać, że jego biblioteka to machina miążca dane — nie tylko informacje naukowe — w sposób kontrolowany do ostatniego przecinka. *Bibliotekarstwo praktyczne*⁵ można właściwie dać dziś bez zmian do lektury adeptom zawodu, a nawet należy — tak wyraziście wyjaśniono tam zasady projektowania i prowadzenia bibliotek, tak precyzyjne i zwarte są zalecenia dotyczące katalogów, magazynów czy czytelni. Później takich już nie było. Ale przecież nie tylko to Grycz przedstawia, także wewnętrzną dokumentację księżnicy. To z kolei są partie podręcznika, które w wersji uwspółcześnionej trzeba by wykreślić, albowiem takie dane trafiają dziś do interoperacyjnych systemów komputerowych, zaś pracownie Grycza są pełne kart i kartotek (nie wyłączając, a jakże, kłamrowych), formularzy, zeszytów, piór, ołówków, linijek itp. — oraz „sił żeńskich”, wyposażonych w nadzwyczajne zdolności do posługiwania się tym arsenałem⁶. Gdzieś tutaj kojarzy nam się solidna przedwojenna

³ J. Grycz, *Porównanie zagranicznych przepisów katalogowania*, Kraków 1929, s. 28 n.

⁴ *Ibidem*, s. 10.

⁵ J. Grycz, *Bibliotekarstwo praktyczne w zarysie: podręcznik i poradnik*, Warszawa 1945.

⁶ *Ibidem*, s. 21.

szkoła „handlowa” czy „kupiecka”, ze wszystkimi swoimi rachunkami, inwentaryzacjami i fakturami, zapewne znanymi Gryczowi jako księgarzowi. A może na Śląsku żywa była pamięć o cieszyńskim prawniku i ekonomście nazwiskiem Eduard August Schroeder (1852–1928), jego popularnej handlowce i jego publikacjach, tłumaczonych na wiele języków? *Bibliotekarstwo praktyczne* wydaje się wreszcie w wielu partiach tekstu prawdziwym muzeum biurokracji, rozumianej jako sztuka zarządzania wraz ze swoim materialnym instrumentarium i umiejętnościami posługiwania się nim. Jakie narzędzia stosuje bibliotekarz, by odróżnić precyzyjnie te książki według ich treści i według potrzeb użytkowników, by na przykład możliwa była specjalizacja zbiorów, tego jednak bodaj nigdzie Grycz nie wyjaśnia.

I tym bardziej nie wyjaśnia, im bardziej skupia się na opisie bibliograficznym, marginalizując charakterystykę rzeczową. Robiąc to, kreśli równocześnie wizję biblioteki nienowoczesnej już w chwili pisania. Spróbujmy skrótkowo przedstawić te zależności.

„Do zbiorów dostęp, i to wygodny, mogą i muszą mieć jedynie pracownicy biblioteki. Osoby postronne dostępu do książek mieć nie mogą, za wyjątkiem księgozbiorów podręcznych w czytelnich”⁷. W innym miejscu: „[w]olny dla publiczności dostęp do półek wymaga pewnych ostrożności — chodzi przede wszystkim o to, aby czytelnicy nie zburzyli ustalonego porządku na półkach”⁸. Ale od 1940 roku w Bibliotece Jagiellońskiej, szczęśliwie ukończonej w Generalnym Gubernatorstwie, powstała czytelnia tak okazała, że jej księgozbiór podręczny (może nie od razu) stał się większy od niejednej biblioteki wielowydziałowej uczelni. Jak tam doprowadzić czytelnika do jego książki? Andrzej Mężyński czyta to i nie grzmi, a przecież wie choćby z *Historii bibliotek*⁹, że Grycz jest świadomy, iż kiedyś w bibliotece elitarny czytelnik sam penetrował wszystkie półki. Problem polega na tym, że Grycza interesują katalogi, interesują magazyny, interesują wreszcie czytelnie, ale nie styk tych sfer. Sam ułożył ongiś prosty katalog systematyczny dla czytelnicy Biblioteki Jagiellońskiej, co prawda w poprzedniej siedzibie, czyli dla stosunkowo niewielkiego zbioru, ale w wielu miejscach wyrażał przekonanie, że katalog dostosowuje się do zbioru, że katalogi bywają rozmaite, że tak być musi. Jego dążenie do wdrażania katalogów ujednoczonych wygasa na etapie zakończenia wojny o wybór hasła ze słów tytułu książki (1934), której zarówno protagonista, jak i jego biograf poświęcili tyle uwagi.

Co więcej, zajmując się z takim oddaniem hasłem katalogowym, Grycz odwołuje się do badań nad reakcjami czytelników na poszczególne jego konstrukcje, ale nie wie, że mniej więcej w tym samym czasie w Stanach Zjednoczonych prowadzi się już obserwacje nad zachowaniem czytelników (w kontekście efektywności obsługi) w sferach wolnego dostępu w bibliotekach publicznych¹⁰. Nikt zaś nie zapraszał tych czytelników między półki bez zaznajomienia ich z pożytkiem, jaki mogą odnieść z posłużenia się katalogiem, i bez refleksji nad reakcjami czytelników na zapisy w katalogu. Mamy w takim katalogu

⁷ Ibidem, s. 31.

⁸ Ibidem, s. 125.

⁹ J. Grycz, *Historia bibliotek w zarysie*, Warszawa 1949.

¹⁰ R.J. Hyman, *Shelf Classification Research: Past, Present, Future?*, Urbana-Champaign 1980.

„symbol klasyfikacyjny”¹¹ i co dalej? Co rządzi ustawieniem książki? Inaczej: jak zapisy z katalogu „objawiają się” na półce lub na książce? Grycz pisze dalej: „[można] zaopatrzyć książki poszczególnych działów i poddziałów w specjalne naklejki różnych kolorów i różnego kształtu, na których uwidocznione są pomocnicze sygnatury wykazujące szafę i półkę”¹². Najwyższa pora, żeby szczegółowo zbadać ten tekst, bo recenzent na pierwszy rzut oka widzi tu ni mniej ni więcej tylko „zał”, „szkaf” i „półkę” z biblioteki Imperatorskiego Warszawskiego Uniwersytetu.

Biograf poprzestaje na odnotowaniu dystansu Grycza do bibliotekarstwa brytyjskiego i amerykańskiego. Jest to jednak także dystans wobec zasadniczego otwarcia na możliwość natychmiastowego zajrzenia do książki i porównania jej zawartości z zawartością innych, które zakiełkowało w Stanach w końcu XIX wieku, a w końcu XX doprowadziło do elektronizacji tekstów i ruchu *Open Access*. Po drodze były klasyfikacje o zasięgu światowym, w których dostosowywanie notacji do warunków lokalnych, jakie zaleca Grycz, w ogóle nie było przewidywane. Grycz omawia wprawdzie rzetelnie dzieło Melville’a Deweya i cytuje jego warszawską popularyzatorkę Jadwigę Bornsteinową, ale nie bardzo odróżnia biblioteczną Klasyfikację Dziesiątą od bibliograficznej Uniwersalnej Klasyfikacji Dziesiątej, ani nie zamieszcza (poza wzmianką o kolorowych naklejkach różnych kształtów, zapewne do wycinania nożyczkami, dostępnymi w każdym biurze, także katalogowym) żadnej wskazówki, jak od tak zbudowanego katalogu przenieść się do czytelni lub magazynu. O Klasyfikacji Biblioteki Kongresu — ani słowa; no, na to pewnie rzeczywiście było za wcześnie, choć istniała ona przed Deweyem. W *Historii bibliotek* pisze o „systematycznym ustawieniu”, wspomina Wolfenbüttel, Drezno i Getyngę, przywraca pamięć o Onufrym Kopeczyńskim, który stworzył dla Biblioteki Załuskich „system spisywania i ustawienia książek”. Nic bodaj ponad to. Uznajmy za Andrzejem Mężyńskim, że to są kwestie szczegółowe, mało charakterystyczne dla Grycza. I nie miało bibliotekarstwo polskie swojego znawcy układów systematycznych, który by pomógł przenieść do nowoczesności układy systematyczne odziedziczone po bibliotekarstwie pruskim.

Co zatem jest w książce najważniejsze?

Pracując w B[ibliotece]J[agiellońskiej], miał [Grycz — H.H.] okazję zaobserwować, iż niektóre katedry tworzyły odrębne księstwa, prowadzące własną politykę gromadzenia i stosujące własne zasady katalogowania. Postulował więc, by wszystkie księgozbiory uczelni stanowiły kierowaną przez dyrektora biblioteki głównej sieć, w której obowiązują wspólna polityka gromadzenia zbiorów i jednolite zasady ich opracowania (s. 193).

Uznając takie spostrzeżenia za doniosłe i pragnąc, by znało je jak najwięcej dzisiejszych bibliotekarzy, zagubionych między „stronkami”, z których nic nie rozumiemy, jesteśmy wdzięczni Andrzejowi Mężyńskiemu za wielką książkę. Trzy dni obcowania z naprawdę czułą narracją.

Na koniec należy jeszcze odnotować edytorską dojrzałość wydawnictwa SBP. To jest książka naukowa — precyzyjnie podany tekst ze starannie zredagowanymi przypisami i bibliografią, spisem ilustracji, kalendarium i indeksem (co prawda tylko nazwisk). Na

¹¹ J. Grycz, *Bibliotekarstwo praktyczne...*, s. 85.

¹² Ibidem, s. 125.

tym tle niekorzystnie wygląda duża liczba literówek, z zabawnym „przedzierzgnięciem” na s. 51, oraz przypadkowych chyba błędów gramatycznych („zwiadził następnie słynną Clementinum”, s. 209, „wprowadził następny okres w dziejach książki — imperializm — jako ostatnia faza kapitalizmu”, s. 421). Nie najsmaczniejsze jest też odmienne określenie na stronie redakcyjnej dwojga recenzentów, profesorów uczelni — jednego jako „prof. nadzw. dr hab.”, drugiego jako „dr hab., prof. UW”. Zajmują oni to samo stanowisko, tylko że część doktorów habilitowanych zatrudnionych na etacie profesora uczelni lubi rozpoczynać swoją tytułaturę od „profesora”, z przypisaną mu, ongiś tradycyjną, obecnie nieistniejącą w przepisach „nadzwyczajnością”. Inni zaś tego nie czynią, pozostając przy drugim z cytowanych zapisów — normatywnym. Jasne, że wydawnictwo po prostu powtórzyło dane, najwyraźniej otrzymane w korespondencji. Uczelnie tolerują tę obcość, bo naprawdę w Polsce trudno coś ujednolicić, zaś renomowane wydawnictwa mają takich recenzentów, że nie potrzebują dopisywać im stopni ani tytułów.

Henryk Hollender

ORCID: 0000-0002-1152-0752

Stowarzyszenie EBIB